

— W deche — stwierdzali wyłowieni z wody akowscy podchorążowie z Parasola, Zbigniew Rawicz i Jerzy Tymieniecki.

Rozdziobaną pociskami szosą gnaliśmy w stronę Warszawy, by możliwie najszybciej trafić nad Wisłę. Dowództwa batalionów mieściły się mniej więcej na wysokości Targowej. Tam, po rozrzuceniu korespondentów, zostawał łązik: dalej do kompanii i plutonów szliśmy na piechotę, bo prostopadłe do rzeki ulice były przestrzeliwane.

Wywiady z żołnierzami, którzy mieli stać się bohaterami notatek czy reportaży, prowadziliśmy na podziurawionych odłamkami strychach, w przeciągach klatek schodowych, w piwnicach okopconych sadzą benzynowych lamp (soli dosypać, żeby nie wybuchło!), a czasem nawet w budynkach niełatwych do zidentyfikowania.

Pewnego grudniowego dnia trafiłem do gniazda cekaemów na terenie ogrodu zoologicznego. Żołnierze byli tu urządziwi wygodnie — prycze z desek, stołki, stół. Na stole stały misternie przyciosane saneczki z podpórkami. Pod ścianą — deski. W kącie — sterta granatów posplatanych drutem w wiązki.

— Co to za skład saperski? Kazali wam?

— Nie. My sami. Każdy przecież rozumie, że lada dzień. Sanki pod cekaem, a deski na lód, żeby nie trzasnął, bo na nurcie jeszcze słaby.

Zapisywałem potem, jak wzięli jeńca na tamtym brzegu. Skończyłem o zmierzchu i opiliśmy przyszły reportaż.

Wyprowadził mnie przed schron cekaemistów zastępca dowódcy batalionu, chorąży o okrągłej, dziecięcej twarzy. Poznałem go przed godziną. Nazywał się Zbigniew Załuski.

— Traficie? — spytał.